Beata Ostrowicka

ELIKSIR PRZYGÓD

Rodzicom

Beata Ostrowicka
Eliksir przygód

Z serii: Zagadka starego dworu

© by Beata Ostrowicka
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Bartek Brosz
Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie VIII poprawione, Łódź 2023
ISBN 978-83-8208-182-4

Wydawnictwo Literatura

91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

Rozdział 1

Kolejny złotoróżowy deszcz rozświetlił ciemne niebo. Po chwili zniknął. Następny, kolorowy niczym owe bajeczne szkła wyrabiane w Wenecji i równie nietrwały jak bańka mydlana, ustąpił miejsca istnej feerii barw i światła wykwitającej nad kopułą bazyliki Świętego Marka.

– Nieprawdopodobnie to piękne – szepnął wysoki młodzieniec ubrany w czarną, spływającą do ziemi pelerynę. Górną część jego twarzy zakrywała granatowo-srebrna maseczka.

– Piękne? – zaśmiał się z pobłażaniem drugi, podobnie odziany, znacznie niższy i, sądząc z głosu, starszy. – To spojrzyj, co na drugiej stronie placu się wyczynia. – Młodzieniec odwrócił się i z niedowierzaniem wpatrzył w świetliste kręgi różnej wielkości, wirujące po aksamicie nieba. – Ja już tam na sztuczne ognie się napatrzyłem. – I nie dziwią mnie one. Bardziej zdumiony jestem, widząc, co owi człecy wyczyniają z własnym ciałem. – Wskazał na liczną grupę kolorowych akrobatów i kuglarzy, którzy rozłożywszy dywany na środku placu, demonstrowali na nich swe umiejętności.

– Gdzieś tu i arena przygotowana być miała do pokazania walki specjalnie ćwiczonych wołów z psami.

– Jeno dla zaspokojenia twojej ciekawości tu się zatrzymalim. Czas na nas.

Ruszyli, z trudem przeciskając się przez falujący i głośny tłum. Plac wrzał od gwaru. Tłumy wyglądały niczym barwna, ruchoma mozaika. Czarne peleryny, będące przebraniami większości, przeplatały się z pstrymi sukniami arlekinów* i śnieżnobiałymi pierrotów**. Wśród kostiumów, przygotowanych częstokroć wiele miesięcy wcześniej, można było podziwiać fałdziste suknie i wysokie, ozdobione błyszczącymi gwiazdami kapelusze astrologów, kapiące ozdobami strojne ubrania Turków, Hindusów, Tatarów. Były też postacie aniołów i diabłów, lekarzy, zwiewnych nimf i towarzyszących im pasterzy.

Minęli jarmarczne budy. W jednej z nich grubiutki sprzedawca namawiał piegowatą pannę do nabycia maści na piękność. W innej brodaty starzec, machając tyglem*** i potrząsając dziwnego kształtu buteleczkami, nawoływał podniesionym głosem, by podziwiać u niego sztukę przemieniania zwykłej rtęci w złoto.

– Jeszcze w Padwie ci rzekłem o tych szalbierstwach**** – mruknął zdegustowany mężczyzna. – Żadna to alchemia*****, jeno zwykłe oszustwo. Tera tędy – polecił krótko.

* Arlekin – jedna z postaci w komedii włoskiej, sprytny, kochliwy sługa, ubrany w barwny strój z deseniem w trójkąty lub romby, noszący maskę na górnej części twarzy.

** Pierrot – postać w komedii włoskiej, występująca w białym kostiumie z ubieloną twarzą.

*** Tygiel – naczynie używane do topienia metali, do spalania i prażenia różnych substancji.

**** Szalbierstwo – oszustwo, zwłaszcza wyłudzenie czegoś.

***** Alchemia – dociekania mające na celu przetworzenie zwykłych metali w złoto przy użyciu specjalnej substancji – kamienia filozoficznego (nieistniejącego w przyrodzie). Alchemicy usilnie go poszukiwali.

Szli wąskimi uliczkami oświetlonymi przez niewielkie ogniska. Pod mostami, jakby od niechcenia przerzuconymi nad kanałami, dostojnie przepływały smukłe, ciemne gondole*. Gwarni karnawałowicze blaskiem swych pochodni budzili do życia rzeźby, pomniki, ażurowe zdobienia smukłych okien czy drzwi, delikatne rysunki ornamentów na fasadach budynków. Wszystko tworzyło osobliwy i niepowtarzalny urok tych chwil, które młodzieniec chłonął całym sobą.

– Jeszcze trochę i już przy cmentarzu kościoła Najświętszego Zbawiciela jesteśmy – odezwał się półgłosem starszy. – Jeno chwilę stanę i oddech złapię.

Zaułek rozjaśniało palące się niedaleko ognisko. Wokół niego siedziało kilku żebraków. Pod cmentarnym murem stała ciemna postać. Młodzieniec wypatrzył ją pierwszy i chwycił za ramię swego towarzysza.

– Patrzcie, Mistrzu, tam chyba ktoś jest.

Starszy skinął głową i zbliżył się do postaci, która na ich widok postąpiła krok do przodu i odezwała się:

– Merkuriusza czerwonego… – usłyszeli.

– …w kąpieli kwaśnej uwarz – odparł starszy mężczyzna.

– To dla was, panie – odrzekł z ulgą nieznajomy i wręczył Mistrzowi jakiś ciemny przedmiot. – Moje zadanie skończone, w wasze ręce przekazałem – skłonił się.

– Nie ma go. Już odszedł. Wzdłuż owego muru idzie, tak mi się zdawa – szepnął młodzieniec.

– Nas też tu zara nie będzie – zarządził starszy i przycisnął mocno do siebie przedmiot, który przed chwilą został mu przekazany.

* Gondola – łódź wiosłowa, używana w komunikacji po kanałach Wenecji.

Rozbawiona grupa przebierańców, wymachująca flaszkami i pochodniami, zatrzymała się niedaleko nich. Wtedy dopiero młodszy ujrzał w rękach Mistrza niewielką szkatułkę.

– To po to tu przyjechalim? – spytał głosem pełnym radości i niedowierzania.

– Po to. Tera do gospody wracamy. – Kurczowo trzymał szkatułę.

– Mistrzu, nie z tej strony przyszlim – zauważył niepewnie młodszy, starając się dojrzeć coś w ciemnościach.

– No, *Polacco*, zuch prawdziwy z ciebie. Mnie to prawisz, a ja w Wenecyi lat bez mała piętnaście spędziłem. Jak ci nudno kiedy będzie przy myciu alembików*, to ci rzeknę, com tu tyle czasu robił! – zaśmiał się. – Zdrożon już jestem, to gondolę najmiemy i nią wrócimy. Dla tej przyczyny inszą drogą idziemy. Do Canale Grande** cię prowadzę.

Uliczki znów ożyły pstrymi strojami, gwarem przeplatanym śmiechem. Niespodziewanie weszli w roztańczoną grupę. Towarzyszyło jej kilku muzyków, skocznie przygrywających na instrumentach ozdobionych pękami wstęg.

– No, taka urocza kolombinka*** pasowałaby ci, co? Tyś młody, to i zabawa, i taniec tak potrzebne dla ciebie jak dla nas wszystkich powietrze! – zaśmiał się starszy. – Tera, śliczna panienko, nam spieszno – zwrócił się do dziewczyny, obejmującej bez żenady jego towarzysza.

– Szkoda! – zaśmiała się. – Chociaż maska część twarzy przyjaciela twego skrywa, coś mi rzecze, że wielce przystojny

* Alembik – szklane naczynie używane do destylacji.

** Canale Grande (wł.) – Wielki Kanał; najszerszy i najdłuższy kanał w Wenecji.

*** Kolombina – główna postać kobieca z komedii włoskiej, partnerka arlekina.

z niego kawaler. Masz na pocieszenie. – Podała młodzieńcowi odpiętą od sukni purpurową różę z jedwabiu. – I na cóż to o pośpiechu mówić w czas karnawału?! – dodała z wyrzutem.

Do tłumu, zabawiającego się wylewaniem na siebie resztek wina, dołączyło dwóch mężczyzn o całkowicie zasłoniętych twarzach. Minęli mokre nimfy i przystanęli niedaleko rozbawionego Mistrza i jego speszonego towarzysza, którzy żegnani serdecznie przez kolombinę, wybierali się w dalszą drogę.

Naraz coś się wydarzyło. Wysoki i chudy mężczyzna nachylił się do swego towarzysza i coś mu szepnął. Zaraz potem stanął za plecami Mistrza. W tym samym momencie pijany pierrot, próbujący od dłuższego czasu zwrócić na siebie uwagę kolombiny, zatoczył się i przebiegł między starszym mężczyzną a stojącym zaraz za nim nowo przybyłym. Ten ostatni nie zauważył pijanego i wykonał gwałtowny ruch pchnięcia.

– Patrzcie! – krzyknęła wesoło kolombina, wskazując leżącego pierrota, który szeroko otwartymi, szklanymi oczami zdawał się wpatrywać w ciemne niebo, na którym co pewien czas pojawiały się błyski zakwitających na niebie ogni sztucznych. – Marcello już całkiem pijany tu leży. Ej, ty – jedną ręką potrząsnęła nim, a drugą pomachała na pożegnanie odchodzącym – wstawaj, pijaku…

– Nóg już nie czuję – odezwał się po dłuższej chwili Mistrz i z uwagą popatrzył na idącego obok. – Cóżeś tak zamilkł? Z rozpaczy po kolombinie? Znajdziemy zaraz inszą.

– Panie, schowajmy się gdzie… – odezwał się błagalnym tonem młodzieniec.

– A po co niby? Aaa. – Stary aż przystanął ze zdumienia. – Ty o to się niepokoisz… – Głową wskazał na kształt ledwo widoczny pod peleryną.

– Tak, Mistrzu.

– Coś ci, *Polacco*, rzeknę. To bezpieczne jest. I my z tym też. O tym, że to w Wenecyi jest, wie jeno ów doręczyciel, no i my.

– Nie zaszkodzi, panie, trochę ostrożności. Zbyt cenną rzecz przecie niesiecie – oparł młody, rozglądając się dokoła. – Wrażeniu oprzeć się nie mogę, że jakoweś szmery słyszę. I że dużo cieniów za nami idzie.

– Eee – skrzywił się pogardliwie jego towarzysz. – Szmery masz we łbie, a cienie pod oczami z niewyspania. Rzekłem ci, jeno my trzej wiemy…

Naraz na kamiennych płytach przed gotyckim pałacykiem z kamiennym portalem zastukały głucho czyjeś pośpieszne kroki. Dwóch mężczyzn z zamaskowanymi twarzami stanęło niedaleko rozmawiających. Wysoki i chudy wykonał ruch szybki jak myśl. Wąski nóż zatoczył łuk w powietrzu i Mistrz począł osuwać się na ziemię. Jego towarzysz krzyknął przerażony. Schylił się nad leżącym i usłyszał dziwnie mocny głos:

– Uciekaj, *Polacco*!

Poczuł, że trzyma w rękach szkatułkę. Jedno spojrzenie na twarz leżącego wszystko mu powiedziało. Nie zwlekając chwili dłużej, zerwał się do ucieczki. Kątem oka zobaczył, że biegnie ku niemu morderca, którego peleryna powiewa niczym skrzydła czarnego, ogromnego ptaka. Młodzieniec, ściskając kurczowo szkatułkę, wpadł po schodkach na wąski most. Po chwili był już na drugim brzegu kanału. Zabójca podążał za nim. Ostatnie spojrzenie na Mistrza, którego odzienie obszukiwał drugi z napastników, tylko dodało uciekającemu sił.

Zdarł maseczkę i skręcił w prawo. Znalazł się na niewielkim kamiennym placu, otoczonym fasadami trzech pałacyków. Gorączkowo rozejrzał się dookoła. Pobiegł opustoszałą uliczką,

słysząc za sobą odgłosy pogoni. Znowu jakaś uliczka z odrapanymi domami, ozdobionymi różnokolorowymi drewnianymi okiennicami. Kolejny zaułek, dom z podcieniami, w których skrył się nocny chłód, parę schodów, a na nich pochrapujący żebrak. Następna uliczka, z całującą się parą, opartą o drzwi domu z czerwonej cegły, i ciągły, nieustający tupot nóg za nim.

Niecierpliwym ruchem rozwiązał pod szyją pelerynę, krępującą mu ruchy. Był teraz w bordowym odzieniu z białymi wyłogami. Biegł prosto przed siebie. Skręcił gwałtownie w prawo i wpadł na uliczkę wiodącą wzdłuż kanału. Przed nim wyrósł wspaniały gmach kościoła. Tuż obok, parę metrów od niego, kolejny most łączył dwa brzegi kanału. Wbiegł na most i w cieniu bliższej podpory ujrzał przycumowaną gondolę. Rozejrzał się po placyku. Prześladowca jeszcze tu nie dotarł. Słychać było jednak coraz wyraźniej jego kroki. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wskoczył na niski murek oddzielający uliczkę od wody. Starając się robić jak najmniej hałasu, zsunął się do gondoli. Położył się w niej płasko i narzucił na siebie płótno, jakie tam znalazł. Wstrzymał oddech i począł nasłuchiwać. Usłyszał kroki mordercy, które niezdecydowanie to przybliżały się, to oddalały. Ucichło. Odczekał jeszcze chwilę i dopiero wtedy usiadł. Zaczął ponownie nasłuchiwać.

Mając jedną rękę zajętą, z trudem wspiął się na murek. Gdy zmęczony odpoczywał, usłyszał obok siebie zabójcę Mistrza. Jakby wiedziony tajemniczym instynktem, błyskawicznie wyciągnął sztylet z cholewy buta. Jeszcze siedząc na murku, odparował spadający na niego cios zadany sztyletem. Znów kolejny cios i kolejne pchnięcie, zadawane przez mordercę, który również pozbył się peleryny.

Na placyku rozgorzała walka. Dwóch wysokich mężczyzn walczyło na śmierć i życie, jeden, przyciskający kurczowo do lewego boku szkatułę, co znacznie ograniczało jego ruchy, i drugi, ubrany na czarno. Na jego piersi błyszczał zawieszony na grubym łańcuchu medalion, wyobrażający otwarty pysk wilka.

– Zabiję cię. – Młody człowiek usłyszał beznamiętnie wypowiadane słowa.

Poczuł w lewym ramieniu piekący ból. Syknął i ujrzał, że krwawi.

Na placyku pojawiło się naraz kilkanaście osób. Roześmiani mężczyźni w strojach pasterskich i dziewczęta przebrane za pasterki zaczęli tańczyć. Byli tak zajęci zabawą, że nie zwrócili uwagi na walczących na stopniach schodzących do migocącej wody.

W pewnej chwili dziewczyna w wianku z kwiatów na ciemnych włosach oderwała się od ciżby i podbiegła do murku. Wdzięcznie oparła się na nim i zawołała w stronę przebierańców:

– Giovanni, Giovanni…

Młodzieniec, jakby wszystko stawiając na jedną kartę, z furią zaatakował. Zabójca z wprawą odparowywał jego ciosy. Nagle, słysząc dźwięczny głos dziewczyny, odwrócił w jej stronę głowę. Ta chwila nieuwagi wystarczyła. Sztylet młodzieńca rozciął prawy policzek zamaskowanego. Mężczyzna krzyknął. Dotknął zakrwawionej twarzy. Cofnął się. Skórzane buty straciły oparcie na wilgotnych stopniach i zabójca runął do wody. Młodszy wytarł sztylet o rękaw i umieścił go w cholewie. Rzucił się do ucieczki. Przyciskając szkatułkę zdrową ręką do boku, zniknął w jednej z trzech uliczek.

– Byle do placu Świętego Marka dobiec – szepnął spieczonymi wargami – potem już jakoś trafię.

Znów mijał różnokształtne mosty zawieszone nad kanałami, których nazw nie znał. Domy przeglądające się w ołowiano-granatowej wodzie, przebierańcy, rzucone gdzie popadnie niedogaszone pochodnie. Coraz mniej sił, coraz większy ból drętwiejącej ręki, ale nareszcie nie słyszał tego ustawicznego tupotu za nim.

Biegł coraz bardziej wyczerpany. Minął pijanego pierrota, który chciał mu wręczyć smukłą butelkę. Osłabiony oparł się na chwilę o balustradę mostu. Naraz zaniepokojony czymś uniósł głowę. Na końcu uliczki ujrzał mężczyznę przykładającego do twarzy zakrwawioną chustę. Podtrzymywany przez dwóch pasterzy, rozglądał się gorączkowo dookoła.

Młodzieniec pochylił się. Niezauważony przez mordercę, przebiegł na drugą stronę kanału. Zbiegł schodkami. Mocniej chwycił szkatułkę i skoczył do wody. Wykonał parę chaotycznych ruchów i dotarł do przepływającej gondoli. Chwycił się jej lewą ręką, a drugą delikatnie umieścił w niej skrzynkę. Zdumiony gondolier w trójgraniastym kapeluszu pomógł mu wspiąć się do łodzi.

Młodzieniec, blady z bólu, słabym głosem wydał jakieś polecenie. Z ulgą położył się, opierając głowę na tajemniczej skrzynce.

Aksamit nieba wyblakł. Wenecja rozpoczynała kolejny dzień.